

Przedmowa do wydania z 1984 roku

To Sol Stein, kumpel z liceum, redaktor, powieściopisarz, autor sztuk teatralnych, jako pierwszy zwrócił się do mnie z sugestią napisania tej książki. Nie zareagowałem entuzjastycznie – jeśli dobrze pamiętam, powiedziałem mu, że jestem za młody na publikowanie pamiętników.

Nigdy nie myślałem, by z tych esejów mogła powstać książka. Nie wydaje mi się, bym – zostawiwszy je za sobą – wracał do nich myślą. Sugestia Sola wywołała ten szokujący i niemiły efekt, że uzmysłowiła mi upływ czasu. Jak gdyby chlusnęła mi w twarz zimną wodą.

Sol nie dawał jednak za wygraną, podobnie jak trudy i niebezpieczeństwa mojego położenia. Jakiś czas przed tym, w 1954 roku, wróciłem z Paryża – z powodów, które nie były dla mnie do końca jasne. Obiecałem szwajcarskiemu przyjacielowi wizytę w kraju moich narodzin, jednak to akurat, jak sądzę, należy uznać za pretekst – brak temu wagi motywu. Nie znajduję żadnego obiektywnego powodu mojego powrotu do Ameryki w tamtym czasie – nie jestem pewien, czy znajduję jakiś subiektywny.

Tak czy inaczej przyjechałem, na początku 1954 roku, kilka miesięcy przed trzydziestką, na śmierć wystraszony,

ale szczęśliwy, że jestem wśród rodziny i przyjaciół. Był to mój drugi powrót od czasu wyjazdu w 1948 roku.

Wcześniej wróciłem w roku 1952 z pierwszą powieścią, zostałem na tyle długo, by pokazać ją rodzinie i sprzedać, i czym prędzej się wyniosłem. W 1954 przywoziłem *Zaulek Amen* i byłem w trakcie pracy nad *Moim Giovannim*, który oddzielił się od tego, co miało przybrać kształt *Innego kraju*.

Na dobrą sprawę okres 1954–1955, pomimo prze-rażających momentów, był wspaniałym rokiem, i to nie tylko z perspektywy czasu. Coś w końcu przeżyłem – dowodem było to, że pracowałem. Rezydowałem w kolonii artystycznej Yaddo w Saratoga Springs, kiedy mój kumpel Marlon Brando otrzymał Oscara, i oglądałem w telewizji, jak Bette Davis wręcza mu nagrodę i całuje go. Za mojego pobytu tam zadzwonił też do mnie z Waszyngtonu świętej pamięci Owen Dodson, żeby mnie zawiadomić, że reżyseruje studencką inscenizację mojej sztuki na Uniwersytecie Howarda. Pojechałem do Waszyngtonu, gdzie poznałem niezjącego już wielkiego E. Franklina Frazierę oraz wielkiego Sterlinga Browna. Howard* był pierwszym kampusem uniwersyteckim, z jakim się zetknąłem, i nie wiem, co by się stało z moim morale, gdyby nie ci mężczyźni. Przedstawienie, Bogu dzięki, okazało się olbrzymim siedmio- czy dziesięciodniowym dziwem, który dopiero ostatniego wieczoru oglądała przepelniona sala, i to pomimo niechętnie nastawionej, jeszcze nie czarnej kadry wydziału („Ta sztuka cofnie Wydział

* Uniwersytet Howarda to tradycyjnie jeden z uniwersytetów, na którym kształcili się głównie Afroamerykanie, ale w tamtym czasie zarządzali nim biali.

Językowy o trzydzieści lat!”), zdumionej reakcji „Variety” („Jak pan sądzi, co o tej sztuce pomyślą Murzyni na Północy?”) oraz faktu, że następny raz wystawiono ją dopiero niemal dziesięć lat później. I zakochałem się. Byłem szczęśliwy – świat nigdy wcześniej nie był tak pięknym miejscem.

Istniał tylko jeden mały szkopał. Ja, my nie mieliśmy złamanego grosza, garnka, żeby się odlać, ani okna, żeby go opróżnić.

Sol Stein ponowił atak. Umówiliśmy się na dziewięć esejów, on chciał dziesiąty, więc napisałem tytułowy tekst między domem Owena a Dunbar Hotel. Wróciłem do Nowego Jorku i tam skończyłem *Mojego Giovanniego*. Przy alei Wydawców, w owym opiniotwórczym mateczniku patrzono na książkę ze zgrozą i wstrętem, nie chciano jej tknąć i argumentowano, że jestem młodym murzyńskim pisarzem, który wydając tę książkę, zraziłby do siebie swoich czytelników i zniszczył sobie karierę. Krótko mówiąc, nie zamierzały jej publikować, dając przy tym do zrozumienia, że wyświadczylimy im w ten sposób przysługę. Przekazałem im moją wdzięczność, możliwe, że w odrobinę zbyt ostrych słowach, pożyczyłem pieniądze od znajomego, po czym ja oraz mój kochanek wsiedliśmy na statek do Francji.

Nie myślałem o sobie jako eseiście – podobny pomysł nigdy nie zaświtał mi w głowie. Nawet, a być może zwłaszcza, teraz trudno mi odtworzyć koleje tej drogi.

Ma to na pewno coś wspólnego z tym, co próbowałem odkryć i czego również starałem się uniknąć. Jeżeli usiłowalem odkryć siebie – co w gruncie rzeczy, jeśli się nad tym zastanowić, było pomysłem cokolwiek wątpliwym, zważywszy że starałem się również przed sobą uciec – to na pewno między tym własnym ja a mną leżała narosła przez wieki skała. Ta skała raniła rękę, w zetknięciu z nią

kruszyły się wszelkie narzędzia. A jednak moje ja gdzieś tam było: czułem, jak wierzga w niewoli i przeciwko niej. Nadzieja ocalenia – tożsamość – zależała od tego, czy tę skałę będzie się potrafiło rozszyfrować i opisać.

Głos w jednej z pieśni woła: „na skałę zbyt dla mnie wysoką wyprowadź mnie”; inny zaś woła: „ukryj mnie w ska-le!”; jeszcze inny oświadcza: „w tej skałe mój dom”. Albo: „Pobiegłam ku skałe, by twarz mą skryć / zawołała ska-ła: nie ukryjesz nic!”*.

Te nagromadzone w ciągu stuleci pokłady skały po od-cyfrowaniu okazywały się częścią mojego dziedzictwa – częścią, zaznaczam, nie całokształtem – ale jeżeli chcia-łem upominać się o prawo przysługujące mi z urodzenia, którego ledwie cieniem była dziedziczona przeze mnie

* Ten i wcześniejszy akapit nawiązują do wyrażenia „rock of ages” z osiemnastowiecznego protestanckiego hymnu (autor, Au-gustus Montague Toplady, sam zaczerpnął je z Księgi Izajasza) pod tym samym tytułem i do innych pieśni religijnych powstałych w na-wiązaniu do tej frazy, która z czasem zasiła imagerium kultury duchowej czarnej ludności Stanów Zjednoczonych. Wyobrażenie Boga jako skały stanowiącej schronienie i oparcie żywo rezonowało wśród ludzi zmuszanych do niewolniczej pracy, których życie wy-dane było o każdej porze dnia i nocy na łaskę ich wyzyskiwaczy. Baldwin przywołuje „skałę wieków” na zasadzie synekdochy: ta figura streszczałaby doświadczenie jego ludu na kontynencie ame-rykańskim, nomen omen skamieniałe w całokształcie określonego dziedzictwa kulturowego. W tym wielowiekowym skalnym osadzie, zaznacza jednak, leży równocześnie wyzwanie dla niego jako czło-wieka – wyrastając z tej skały, zachowując jej właściwości, musi się z niej wyodrębnić i wykształcić własną tożsamość, jeśli pragnie być szanującą siebie jednostką. Jak czytamy w kolejnym akapicie, musi negocjować swoją terażniejszość z przeszłością, jednak nie uto-nąć w przeszłości, żeby jakaś realna przyszłość mogła się wydarzyć.

spuścizna, musiałem zmierzyć się ze skalą i przyjąć ją do siebie. W przeciwnym razie to ona upomniałaby się o mnie.

Albo też, ujmując to inaczej, pozostawiona mi spuścizna była osobliwa, w szczególny sposób ograniczona i ograniczająca – moje urodzenie dawało mi rozległe prawo udziału, łącząc mnie ze wszystkim, co żyje, i z każdym, po wsze czasy. Ale nie sposób dochodzić prawa przysługującego z urodzenia, nie przyjmując jednocześnie pozostawionej spuścizny.

Dlatego kiedy zacząłem na poważnie pisać – kiedy wiedziałem już, że się zaangażowałem, że będzie to moim życiem – musiałem starać się opisać tę szczególną kondycję, która była – jest – żywym dowodem odziedziczonej przeze mnie spuścizny. A jednocześnie, posługując się tym samym opisem, musiałem upomnieć się o prawo przysługujące mi z urodzenia. Jestem tym, czym uczyniły mnie czas, okoliczności, historia – to pewne – ale jestem też czymś dużo więcej. Wszyscy jesteśmy.

Kwadratura koła, jaką jest kolorowość, to dziedzictwo każdego Amerykanina i każdej Amerykanki, zarówno czarnych, jak i białych, czy to w świetle prawa, czy w świetle dnia. To straszliwe dziedzictwo, za które niewysłowione rzesze sprzedały swoje przyrodzone prawo. Rzesze ludzi robią tak do dziś. Owa potworność tak silnie zespoliła z sobą przeszłość i terażniejszość, że jest praktycznie rzeczą niemożliwą – a z pewnością pozbawioną sensu – mówić o niej jak o czymś, co rozgrywa się, by tak rzec, w czasie. Gestem samobójczym, tak jak zresztą było dotąd, może być próba mówienia o niej do ludzkich rzesz, które – jeśli przyjąć, że mają świadomość istnienia czasu – wierzą, że czas da się przechytryć.

W każdym razie coś podobnego ma pewien związek z moimi początkami. Próbowałem umiejscowić się w okreś-

lonym dziedzictwie i posłużyć się tym dziedzictwem właśnie po to, żeby upomnieć się o moje przyrodzone prawo, którego owo dziedzictwo tak brutalnie i wyraźnie mi odmawiało.

Nie jest przyjemne być zmuszonym przyznać, z górą trzydzieści lat później, że ani ta dynamika, ani ta konieczność nie uległy przekształceniu. Zmiany, które zaszły, są powierzchowne, a ich skutki są w najlepszym razie niejednoznaczne, w najgorszym zaś – katastrofalne. Pod względem moralnym nic się nie zmieniło, a zmiana moralna to jedyna zmiana rzeczywista. *Plus ça change*, utyskują zirytowani Francuzi (którym można zaufać, że wiedzą, co mówią), *plus c'est la même chose* („Im bardziej się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo”). Przynajmniej mają dość klasy, że stać ich w tej kwestii na szczerłość.

Jedyną prawdziwą zmianą ostro rysującą się w tym obecnym, niewysłowionym groźnym chaosie jest paniczny niepokój po stronie tych, którzy oczerniali i podporządkowywali sobie innych tak długo, że sytuacja odwróciła się na ich niekorzyść. Ani razu Cywilizowani nie zdołali uszanować, uznać czy opisać Dzikusa. Jest on, praktycznie rzecz biorąc, źródłem ich bogactwa, a nieprzerwane podporządkowanie go ich jarzmu – kluczem do ich władzy i chwały. To prawda absolutna i niezaprzeczalna w Afryce Południowej – by ograniczyć się do tylko jednej części Afryki – a także w odniesieniu do codzienności czarnych mężczyzn i kobiet; tutaj czarnego z punktu widzenia gospodarki najzwyczajniej spisano na straty i z tego powodu zachęca się go, by wstępował do armii albo, zgodnie z przekonaniem, jakie żywią choćby Daniel Moynihan i Nathan Glazer, by został listonoszem, by na coś się, na miłość boską, przydał, gdy biali mężczyźni biorą na swoje barki ciężkie brzemie rządzenia światem.

Cóż. *Plus ça change*. A co dopiero miałby powiedzieć czarny obywatel o „takich przyjaciółach”*, mając na myśli swoich krajanów!

Pod rusztowaniem z bieżących dni, nadziei, przedsięwzięć czai się niewypowiedziana, lodowata panika. Powiedziałem, że Cywilizowani ani razu nie zdołali uszanować, uznać czy opisać Dzikusa. Z chwilą, gdy stwierdzili, że jest on dzikusiem, zniknęło wszystko, co można by szanować, uznawać czy opisywać. Za to dzikusy opisują Europejczyków – którzy, wylądowawszy w Nowym (!) Świecie, nie byli jeszcze białymi – jako „ludzi z niebios”. Podobnie dzicy w Afryce żadną miarą nie mogli przewidzieć udręki tej diaspory, na którą mieli być skazani. Nawet wodzowie sprzedający Afrykańczyków w niewolę nie mogli przypuszczać, że niewola ta będzie trwać wiecznie, a w każdym razie przynajmniej tysiãc lat. Doświadczenie dzikich nie mogło przygotować ich na tego rodzaju wyobrażenie, podobnie jak na to, że o ziemi będzie się myśleć jak o czymś, co można kupować i sprzedawać (tak jak ja nie mogę uwierzyć, że ludzie naprawdę kupują i sprzedają przestrzeń powietrzną nad wieżowcami Manhattanu).

A jednak to wszystko się stało i dzieje się nadal. Z głębi tego niewiarygodnego okrucieństwa otrzymujemy mit o wesołym Bambo i *Przeminęło z wiatrem*. Wydaje się, że mieszkańcy Ameryki Północnej do dziś wierzą w te legendy, które stworzyli i które nie mają absolutnie żadnego potwierdzenia w rzeczywistości. Kiedy natomiast legendy te są atakowane, jak obecnie – na całym ziemskim globie,

* Oryg. *friends like these!* Parafraza popularnego sarkazmu „With friends like these who needs enemies?” (Na co komu wrogowie przy takich przyjaciółach?).

który nigdy nie był i nie będzie biały – moi ziomkowie robią się dziecinnie mściwi i nad wyraz niebezpieczni.

Owa niewyrażona panika, o której mówiłem wcześniej, bierze się z przerażenia faktem, że oto Dzikus może już opisać Cywilizowanego – jedynym sposobem, by temu przeszkodzić, jest unicestwienie człowieczeństwa. Panika ta świadczy o tym, że zarówno pojedyncza osoba, jak i ludzka zbiorowość nie mogą uczynić niczego, nie wiedząc, co czynią. I podobnie nikt nie zdoła uniknąć zapłaty za wybory, których dokonał. Na dziką – jeśli można tak powiedzieć – ironię zakrawa fakt, że jedynym dowodem wobec świata – ludzkości – na prymat białych są czarna twarz i głos: twarz nigdy nieprzestudiowana, głos nigdy nieusłyszany. Oczy w tej twarzy stanowią świadectwo niewybaczalnej i niewyobrażalnej zgrozy życia tego, który jest niewolnikiem w ziemi obiecanej, ale dowodzą też tego, że *trouble don't last always**; co do głosu – niegdyś przepelnionego gniewem i bólem, które podtrzymywały rzeczywistość strażnika – odwołuje się on do innej rzeczywistości, w innych językach. Ludzie, którzy myślą o sobie jako o białych, mają do wyboru stać się ludzkiemi albo nieistotnymi.

Albo takimi, jakimi już się stali pod każdym względem poza swoją faktyczną postacią – zamierzchłymi. Bowiem jeśli zmartwienie, jak powiada nam Eklezjasta, nie trwa po wsze czasy, podobnie wieczna nie jest Władza, a to

* *Trouble don't last always* (ang.) – problemy nie trwają wiecznie. Tytuł utworu amerykańskiego pieśniarza gospel i pastora Kościoła Bożego w Chrystusie Timothy'ego Wrighta. Pieśń znalazła się na albumie *I'm Glad About It* wydanym w roku 1991. Por. Koh 3,1. Biblia Tysiąclecia (dalsze cytaty z Biblii także według tego wydania).

bodaj na fakcie, nadziei czy też micie Władzy owa tożsamość, która nazywa siebie białą, od zawsze bazowała.

Gdy ta książka ukazywała się po raz pierwszy, dopiero co skończyłem trzydzieści jeden lat, a w chwili, kiedy to przeczytacie, będę już po sześćdziesiątce. Uważam to za rzecz zgoła niesamowitą, ale nie wspominam o tym teraz, by coś świętować czy nad czymś płakać. Nie sądzę, bym miał powody, aby się skarżyć: z całą stanowczością myślę, że wręcz przeciwnie – raczej by przystać na to, co było, i to niezależnie od tego, co przyniesie jutro. Mam jednak powody do rozmyślań – zawsze się je ma, gdy trzeba spojrzeć wstecz. Pamiętam wielu ludzi, którzy pomogli mi na różne sposoby, których nie podejmuję się tu opisywać, tyle lat temu, kiedy byłem tamtym oniemiałym dzieciakiem z wybałuszonymi oczami, siedzącym w moim wspomnieniu gdzieś w kącie na podłodze. Było mi trudno w Village, gdzie masa ludzi, zagrzewana przez gliniarzy, uważała za świetną zabawę obijanie moją głową stołów i krzeseł, tak że wkrótce przestałem mówić o swoich „konstytucyjnych” prawach. Jestem, jak sądzę, ocalonym.

Ocalonym z czego? W tamtych latach, kiedy ogarniało mnie przerażenie, kiedy pałałem gniewem albo zbierało mi się na płacz, mówiono mi: „Trzeba czasu, Jimmy. Trzeba czasu”. Zgadzam się, wciąż się zgadzam, jakkolwiek wcale nie trzeba było dużo czasu, by wielu z tych ludzi, których wówczas, w latach pięćdziesiątych, znałem, zrejęterowało, postanowiło mieć z tego coś dla siebie i ustroiło się w amerykańską flagę. Żałosna i nikczemna banda tchórzy, której niegdyś zawierzyłem życie – „tacy przyjaciele”!

Ale o tym wszystkim porozmawiamy innego dnia. Kiedy mówiono mi, gdy byłem młody, że trzeba czasu, mówiono mi, że trzeba czasu, by czarną osobę w tym kraju

zaczęto traktować jak istotę ludzką, ale że to się stanie. Będziemy działać, by tak się stało. Przrzekamy ci.

Sześćdziesiąt lat ludzkiego życia to dużo czasu na wywiązanie się z obietnicy, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie żywoty poprzedzające mój i te przebiegające równoległe z nim.

To, co wydarzyło się za mojego życia, to wyliczenie dokonania moich przodków. Nie dotrzymano żadnej z danych im obietnic, żadnej z danych mnie, a ja sam nie mogę dorażać tym, którzy przychodzą po mnie, ani moim krewnym z całej kuli ziemskiej, by wierzyli w jakiegokolwiek słowo wypowiedane przez moich upadłych moralnie rodaków.

„A chociaż – jak pisze Doris Lessing w przedmowie do *Opowieści afrykańskich* – okrucieństwa wyrządzone przez białego człowieka czarnemu człowiekowi zaliczają się do najcięższych zarzutów w akcie oskarżenia przeciw ludzkości, uprzedzenie ze względu na kolor skóry nie jest naszą winą pierwotną, a tylko jednym z aspektów zaniku wyobraźni, który utrudnia nam dostrzeżenie nas samych w każdym stworzeniu, które oddycha pod słońcem”*.

Amen. *En avant.*

James Baldwin

18 kwietnia 1984

Amherst, Massachusetts

* „And while the cruelties of the white man towards the black man are among the heaviest counts in the indictment against humanity, colour prejudice is not our original fault, but only one aspect of the atrophy of the imagination that prevents us from seeing ourselves in every creature that breathes under the sun” (D. Lessing, *Preface*, w: teże, *African Stories*, New York 2014, s. 6). Zob. D. Lessing, *Opowieści afrykańskie*, przeł. J. Manicki, K. Oblucki, Warszawa 2014 (w wydaniu polskim brak przedmowy autorki).

Zapiski syna tego kraju

Dwudziestego dziewiątego lipca 1943 roku umarł mój ojciec. Tego samego dnia, kilka godzin później urodziło się jego najmłodsze dziecko. Z górą miesiąc przed tymi wydarzeniami, kiedy oczekiwaliśmy na nie w wielkim napięciu, w Detroit doszło do najkrwawszych zamieszek na tle rasowym w naszym stuleciu. Kilka godzin po nabożeństwie żałobnym, kiedy mój ojciec spoczywał na katafalku w kaplicy zakładu pogrzebowego, zamieszki rasowe wybuchły w Harlemie. Rankiem 3 sierpnia wieźliśmy mojego ojca na cmentarz przez pustynię usianą tłuczonym szkłem okiennym.

Dzień pogrzebu mojego ojca był również dniem moich dziewiętnastych urodzin. Gdy odprowadzaliśmy go na cmentarz, wszędzie po drodze mijaliśmy pokłosie niesprawiedliwości, anarchii, rozczarowania i nienawiści. Miałem wrażenie, jakby sam Bóg, chcąc szczególnie upamiętnić odejście mojego ojca, wymyślił tę przedłużaną w nieskończoność i rozdieraną dysonansami kodę. I wydawało mi się również, że okrucieństwo, które wzbierało wszędzie wokół nas, kiedy ojciec opuszczał świat, obmyślono jako środek dyscyplinujący, który miał złamać dumę jego najstarszego syna. Odrzuciłem wiarę w tę apokalipsę, która

stanowiła centrum wyobraźni mojego ojca – proszę bardzo, zdawało się mówić życie, masz tu coś, co z pewnością będzie uchodzić za apokalipsę, jeszcze zanim przyjdzie ta prawdziwa. Często żywiłem pogardę dla ojca z powodu warunków jego – naszego – życia. Kiedy nadszedł kres, zacząłem się nad jego życiem zastanawiać, a przy tym, inaczej niż dotąd, odczuwać niepokój w związku z własnym.

Nie znałem ojca zbyt dobrze. Nie dogadywaliśmy się z sobą, po części dlatego, że łączyła nas – przybierając u każdego inną postać – przywara upartej dumy. Kiedy umarł, zdałem sobie sprawę, że prawie nigdy z nim nie rozmawiałem. Kiedy nie żył już od dłuższego czasu, zacząłem tego żałować. To chyba typowy rys życia w Ameryce – gdzie od możliwości, prawdziwych i wyobrażonych, roi się bardziej niż gdziekolwiek na ziemi – że drugie pokolenie nie ma czasu, by rozmawiać z pierwszym. Bodaj nikt, włącznie z nim samym, nie wiedział, ile dokładnie ma lat, ale jego matka urodziła się jeszcze za czasów niewolnictwa. Był z pierwszego pokolenia wolnych ludzi. Razem z tysiącami innych Murzynów przybył na Północ po 1919 roku i ja należę do generacji, która nigdy nie widziała okolic określanych czasem przez Murzynów jako Stary Kraj.

Przyszedł na świat w Nowym Orleanie i był całkiem młody w czasach, kiedy Louis Armstrong był chłopcem na posyłki właścicieli spelunek i tanclub w tym mieście, które zawsze przedstawiano mi jako najnikczemniejsze ze wszystkich miejsc – do dziś, ilekroć myślę o Nowym Orleanie, mimowolnie myślę także o Sodomie i Gomorze. Mój ojciec nigdy nie wspominał Louisa Armstronga, chyba że chciał akurat zabronić nam słuchania jego płyt, ale jego zdjęcie długo wisało u nas na ścianie. Umieściła je

tam jedna z bardziej upartych krewniaczek ojca i zabroniła mu je zdejmować. Nigdy go nie zdjął, ale ostatecznie doprowadził do tego, że kobieta trzymała się z dala od nas, a gdy jakiś czas później znalazła się w trudnej sytuacji i była bliska śmierci, odmówił jej pomocy.

Był, tak mi się zdaje, bardzo przystojny. Opieram to przypuszczenie na fotografiach i na własnych wspomnieniach o nim, w których w najlepszym garniturze idzie wygłosić gdzieś kazanie, bo takiego pamiętam go z dzieciństwa. Przystojnego, dumnego i wrośniętego w siebie, „jak paznokiec w palec u nogi” – ktoś tak się kiedyś o nim wyraził. Ale mnie, gdy byłem już starszy, przypominał wizerunki afrykańskich wodzów plemiennych: tak naprawdę powinien stać nagi, zdobny w barwy wojenne i barbarzyńskie amulety, w otoczeniu włóczy. Potrafił być przejmujący, gdy przemawiał z ambony, i nad wyraz okrutny w życiu osobistym – i był z całą pewnością najbardziej zgorzkniałym człowiekiem, jakiego znałem; muszę jednak powiedzieć, że było w nim też coś jeszcze, pogrzebane w jego wnętrzu, coś, co przydawało mu tej niesamowitej siły, a nawet nieco przytłaczającego czaru. Sądzę, że miało to coś wspólnego z jego czarnością – bo ojciec był bardzo czarny – z jego czarnością i jego pięknem, i jeszcze z tym, że wiedział, iż jest czarny, ale nie, że jest piękny. Twierdził, że jest dumny ze swojej czerni, choć z jej powodu doświadczył również wielu upokorzeń i choć nałożyła ona na jego życie ponure ograniczenia. Nie był już młody, kiedy dorastaliśmy, i zdążył doświadczyć wielu form upadku; na swój własny, niewyobrażalnie wymagający i zazdrośnie opiekuńczy sposób kochał swoje dzieci – czarne jak on i jak on żyjące w zagrożeniu; i bywało, że wszystko to dawało się wyczytać z jego

twarży, kiedy próbował, bezskutecznie, o ile wiem, nawiązać kontakt z którymś z nas. Kiedy sadzał sobie jedno ze swych dzieci na kolanie, żeby się z nim pobawić, dziecko zawsze robiło się markotne i zaczynało płakać; kiedy próbował pomóc któremuś z nas w zadaniu domowym, owo nigdy niesłabnące napięcie, które z niego emanowało, paraliżowało nasze umysły i nasze języki tak, że – nie wiadomo właściwie czemu – wściekał się, dziecko zaś – nie wiadomo czemu – było karcone. Jeżeli czasami wpadał na pomysł, by przynieść dzieciom do domu niespodziankę, była to prawie zawsze niewłaściwa niespodzianka, i nawet wielkie arbuzy, które często latem dźwigał do domu na plecach, bywały powodem najprzeróżniejszych scen. Nie przypominam sobie, żeby przez te wszystkie lata któreś z dzieci ucieszyło się z jego przyjścia. Gdy snułem domysły na temat jego wczesnego życia, podejrzewałem, że ta niezdolność do nawiązania kontaktu z innymi ludźmi była czymś, co zawsze czyniło go naznaczonym, i stała się jedną z przyczyn, które wyгнаły go z Nowego Orleanu. Było w nim zatem coś właśnie takiego – coś poszukującego, niepewnego, coś, co pozostawało niewyrażone i co razem z nim złożono do ziemi. Najwyraźniej uwidoczniło się to jego kontaktach z nieznanymi, kiedy miał nadzieję wyrzucić na nich wrażenie. Ale nigdy mu się to nie udawało, w każdym razie nie na długo. Przenosiliśmy się z jednego kościoła do drugiego, za każdym razem mniejszego i mniej wiarygodnego, coraz mniejsze było zapotrzebowanie na jego posługę jako duszpasterza, a kiedy umierał, już od dawna nie odwiedzał go żaden z jego przyjaciół. Żył i umarł w nieznośnym rozgoryczeniu i kiedy wieźliśmy go na cmentarz tymi niespokojnymi, zdewastowanymi ulicami, byłem przerażony,

zobaczywszy, jak potężne i bezbrzeżne może być owo rozgoryczenie, a przy tym zdałem sobie sprawę, że jest ono teraz moim udziałem.

Kiedy umierał, nie mieszkalem w domu od nieco ponad roku. Był to czas wystarczająco długi, bym pojął, co znaczyły wszystkie gorzkie przestrogi ojca, bym poznał sekret jego dumnie wydętych warg i sztywnej postawy – dowiedziałem się, ile w świecie znaczą biali ludzie. Zrozumiałem, że świadomość tego była dla moich przodków – a teraz będzie i dla mnie – czymś, z czym okrutnie trudno jest żyć, rozgoryczenie zaś, które przyczyniło się do śmierci mojego ojca, może zabić również mnie.